

AGNIESZKA OSIECKA Strach czytać jej „Dzienniki”, tak są opasłe i tak bezna-
dziejnie o niczym. Po co w ogóle je wy-
dawano? Aby umocnić pozycję literacką
Agnieszki Osieckiej (zm. 1997), uzasad-
nić patronowanie szkołom, bibliotekom,
studiom radiowym, stawianie pomników
i ławeczek? No nie. Więc po co? O jej
wyjątkowości świadczą teksty piosenek,
których popełniła ok. 2 tys. Wiele wy-
bitnych, może i genialnych, a na pewno
pięknych. I za nie kochaliśmy Osiecką
i kochamy dalej.

Przyglądam się dedykacjom i za-
bawnym rysunczkom na pierwszych
stronach kilku jej kompletnie dziś zapo-
mnianych książek, które mam w swojej
bibliotece. Najgłośniejszą z nich zatytu-
łowała przekornie „Szpetni czterdzie-
stoletni”. A przecież nie zdążyła nawet
się zestarzeć, siwizna dodawała jej tylko
uroku. Dlaczego jednak ta jej rzekoma
wieczna młodość była tak piekielnie
smutna? Popularny serial nie wyjaśnił
ani tego, ani czegokolwiek innego. Za to
prawdziwym wydarzeniem mogłoby być
opublikowanie korespondencji Jerzego
Giedroycia z „hożą dziewczyną o pięknych
włosach”, jak określił ją Mieczysław
F. Rakowski. Rzuciłoby to światło na
„pokajanie” delikwentki objętej w 1958 r.
operacyjnym rozpracowaniem o krypto-
nimie Osa, o czym pisała Joanna Sie-
dlecka w książce „Kryptonim: »Liryka«.
Bezpieka wobec literatów”. W każdym

Alfabet Krzysztofa Maślonia



Krzysztof Maślona

**W ubiegłym tygodniu ukazała się trzecia część mojego alfabetu. Dziś
część czwarta i – przynajmniej na razie – ostatnia**

razie Departament I MSW był zaintere-
sowany wyjazdem poetki do Jugosławii,
gdzie miałyby się spotkać z redaktorem
„Kultury”. Esbecja wystawiła jej nawet
na tę okoliczność wcześniej blokowany
paszport, Giedroyc jednak uświadomił
widać sobie, czym taka randka pod czu-
łym okiem bezpieki mogłaby grozić, i do
spotkania nie doszło. Paszport, co oczy-
wiste, natychmiast Osieckiej odebrano.

Na świat, który zbudowała w swo-
ich piosenkach, składały się szkiełka
i muszelki, okruchy, zajączki z waty
i zasuszone bukieciki – i to ten świat

zaakceptowali i pokochali słuchacze.
Przechodząc do porządku dziennego nad
tym, że pisała i o czterech pancernych,
i o odwetowcach z Bonn, a nawet użaliła
się nad Grekami cierpiącymi pod butem
junty pułkowników. A niezależnie od jej
wynurzeń z „Listu do Adama” (Michnika)
ciałem i duszą należała do środowiska
„Polityki”. Środowiska, a nie pokolenia,
choć to swojej generacji zadedykowała
w 1990 r. wiersz „Nasza młodość”, frag-
mentarycznie prawdziwy:

*Nasza młodość – bez Pana Boga,
nasza młodość – na czterech nogach,
nasza młodość – wciąż niby blisko,
nasza młodość – jak lotnisko
przywołuje, obiecuje, jeszcze nie...
Nasza młodość – półoszukana
nasza młodość – jak świeża piana –
miała wrócić, miała zostać
jeszcze noc, jeszcze dwie...
[...]*

*Lecz nikt już jej słuchać nie chce –
z czym do gości
tej naszej młodości!*

JOANNA SIEDLECKA Utrzymuje, że „tak
jak Wańkowicz najbardziej ceni najlep-
sze dowody żywotności pisarskiej, czyli
krytyczne recenzje”. Tych nie brakowało
jej niemal od samego początku pracy
dziennikarskiej, a już na pewno od 1987 r.,
odkąd pisząc o Witoldzie Gombrowiczu
książkę „Jaśniepanicz”, znalazła swój temat
życia, specjalizację, a stało się nią portreto-
wanie pisarzy, tworzenie ich prawdziwych



FOT. ERAZM COLEK/PAP

wizerunków, a nie podkoloryzowanych monideł. Biografistyka ma bowiem dwa wymiary: pierwszy, jakże rozpowszechniony, to niekończące się pielgrzymowanie do grobów i składanie wieńców, drugi to – znów cytuję Joannę Siedlecką – „mozolne, nieefektywne, samotne dogrzebywanie się do prawdy”. Nie budowała swoim bohaterom pomników, bo te, jak twierdzi – i słusznie – lubią tylko gołębie.

Nie przyjmowała do wiadomości istnienia „białych plam”, bo nic jej tak nie mobilizowało – wyznawała – „jak tabliczka z napisem »zabronione«”. Czasem też coś jej zazgrzytało w trakcie lektury, jak to się stało w wypadku „Malowanego ptaka” Jerzego Kosińskiego. Gdy inni powtarzali jak za panią matką brechty o prześladowaniu biednego żydowskiego chłopczyny przez nieokrzesanych i zboczonych chamów z polskiej wsi, Siedlecka wsiadła w samochód czy autobus i pojechała do Dąbrowy Rzeszyckiej, w okolice Sandomierza, by przyjrzeć się temu „chamstwu”, porozmawiać z nim, udzielić mu głosu. Zdążyła – żyli jeszcze ludzie pamiętający i „malowanego chłopca”, i jego ojca, i księdza, który rzekomo dręczył przyszłego pisarza, a w rzeczywistości znalazł rodzinie Kosińskich schronienie, ratując ją od zagłady. Tak narodził się „Czarny ptasior”, jedna z najbardziej zhejtowanych książek, jakie pamiętam. Tyle że w 1993 r. nikt jeszcze nie używał terminu „hejt”, wystarczały przaśne obmówienie, sflekowanie, nagonka. I to właśnie spotkało autorkę.

Za plecami nazywana bywa różnie, bo po co – stawiane bywa pytanie – grzebać się w przeszłości, naruszać hierarchię wartości – czyją, kiedy ustaloną, na ogół się nie precyzuje – podawać w wątpliwość to, co autorzy opowiadali tak długo, że może i sami w to uwierzyli. Że np. toczyli z bezpieką rozmowy filozoficzne, a że brali od swoich interlokutorów pieniądze – no cóż, jaka praca, taka płaca. Joanna Siedlecka powiada, całkiem spokojnie zresztą: „Oni tworzyli mity, całe mitologie, niekiedy nawet fascynujące. A ja jestem od tego, żeby to wszystko weryfikować”. Dziś, po wielu takich weryfikacjach, ci, którzy serio zajmują się literaturą, powinni być autorce książki „Kryptonimu »Liryka«”. Bezpieka wobec literatów” wdzięczni. Odrobiła za nich pracę domową.



go miasta», został nie tylko patronem opozycji, lecz także – jak sam żartował – »świętym literatury polskiej«. Literatury, która – jak trafnie i bez złudzeń mówił Krzysztof Dybciak – na ogół kolabowała z komunistyczną władzą, była usługowa i potrzebowała świętego, który miałby ją zrehabilitować, odkupić jej winy. I został nim właśnie Herbert”.

EUSTACHY RYLSKI Jego „Warunek” nazwałem zaraz po jego wydaniu arcydziełem i ocenę tę podtrzymuję. Tak w nim pisał o Rosji:

„Kraj, który się sprzysiągł w złej sprawie.

Niby bezludny, pusty, ale niechby tylko co. Niby obojętny, lecz gotów na wszystko. Niby otwarty, chciałoby się rzec, na oścież, ale jednocześnie przyczajony jak dzikie zwierzę. A gdzie ludzie, tam bezwstydnym, demonstracyjnym gwałtem na wszystkim, co żyje i nie żyje.

Zresztą różnica między jednym a drugim niewielka. Widzi się przed sobą życie, przejeżdża się, odwraca głowę, a tam już po życiu. Jakby minęło bez skargi, w zgodzie na własną nietrwałość wobec bezmiaru.

Od czasu do czasu, jak pułapka, pozory dobroduszości. Jakiś pokłon do ziemi, jakiś uśmiech, ciepły gest, ujmująca za serce fraza, ale nie daj Bóg się na to nabrać, uwierzyć.

Kraj, który jak zechce, to zamęczy każdego na śmierć, a jak odpusci, to zdarzy się to samo z siebie...”

Nikt nie każe akceptować jej sądów i opinii, wyrażanych ostatnio także na łamach „Do Rzeczy”. Z wieloma z nich kompletnie się nie zgadzam. Ale co z tego? Kiedy 20 lat temu, i to z okładem, rozmawiałem z nią o jej budzącym ogromne emocje „Panu od poezji”, ujawniającym – powiedzmy – niewygodne fakty z życia Zbigniewa Herberta, powiedziała, że wyznawcy pisarza chcą wykreować taki jego wizerunek, w którym życie byłoby zgodne z dziełem. A to nie tylko niemożliwe, lecz także absolutna bzdura.

A o autorze „Pana Cogito” mówiła, że „niewątpliwie wielu polskich pisarzy miało cięższe życie w PRL, lecz to on, zwłaszcza po »Raporcie z obłąkane-



■ Literaturę – zdaniem Eustachego Ryłskiego – „mogą wykończyć rozmaite zabawy literackie: modernizm, postmodernizm, konceptualizm, całe to kręcenie się za własnym ogonem. Prozie polskiej brakuje wielkich tematów. Ona jest czasem pisana niesłychanie zręcznie, nawet po mistrzowsku, ale to mało. Tymczasem sądzę, że gdyby w tej chwili objawił się pisarz z nowym »Przedwiośnią«, odniósłby również sukces komercyjny”.

Autor „Warunku” powiedział to 19 lat temu. Nowego „Przedwiośnia” jak nie było, tak nie ma, choć polskiej prozie przydarzył się nawet w tym czasie Nobel. Kierunek, w którym zmierza proza polska, wyznaczyły swego czasu Grotkowskie, Vargi i Piątki. Wydawana jest też cała masa historii pisanych w myśl – jak to ujmował Włodzimierz Odojewski – zasady: On, Ona, ten trzeci i Szczekający Pies. Ale to nie literatura, to tylko książki. Marne.

WITOLD ZALEWSKI Prawie 30 lat temu gościłem w mieszkaniu Witolda Zalewskiego, pisarza, uczestnika Powstania Warszawskiego (zm. 2009). Spytał się wtedy, czy kiedykolwiek byłem w Buchenwaldzie. Gdy zaprzeczyłem, podzielił się ze mną wrażeniami ze swojej tam bytności:

„W 1964 r. pojechałem na wycieczkę do NRD. Byłem zachwycony Weimarem, europejskością – w najbardziej szlachetnym znaczeniu – tego miasta, domami Goethego i Schillera. Musieliśmy tam przenocować, z czym był problem, gdyż w hotelach brakowało miejsc. Postanowił nam pomóc jakiś Polak, który tam mieszkał. Powiedział, że FDJ [Związek Młodzie-

ży – przyp. K.M.] prowadzi schronisko i to jest ostatnia szansa. Okazało się, że, owszem, są tam miejsca, ale trzeba udać się kawałek drogi za miasto. Jest już ciemno, jedziemy w górę lasem i nagle przecieram oczy – znajduję się w obozie koncentracyjnym. Widzę wieże strażnicze, druty kolczaste – to był Buchenwald. Na dole świeciły światła Weimaru, a my spędziliśmy koszmarną noc w esesmańskim baraku. O świcie obudziły nas marsze do złudzenia przypominające hitlerowskie. Do tego schroniska przyjeżdżały wycieczki z całej NRD. Pokazywano im Weimar i zaraz potem Buchenwald. Kiedy stamtąd wyjeżdżałem, myślałem o tych Niemcach, którzy po wojnie mówili, że nic nie wiedzieli o obozach”.

ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Swoje książki wydaje w Polsce i w Ameryce, do kraju przyjeżdża możliwie często, na stałe mieszkając w Stanach Zjednoczonych, w Wilmington, w stanie Delaware. W domu jej i jej męża, Normana Boehma (zm. 2016), Amerykanina, który choć nie mówił po polsku, to stał się przy żonie polskim patriotą, wielokrotnie np. interweniując, gdy w prasie pojawiały się krzywdzące nasz kraj opinie i informacje, choćby o „polskich obozach śmierci”. A w sprawie przyjęcia Polski do NATO prowadził korespondencję m.in. z senatorem Joe Bidenem.

Dla Aleksandry Polska jest zawsze na pierwszym miejscu, ale Amerykę też nosi w sercu. Przed laty, w systematycznie prowadzonej korespondencji z Szymonem Kobylińskim, odpowiadając na jego antyamerykańskie wyskoki – bo nie tylko krytykę, lecz także wręcz naigrywanie się z amerykańskiej kultury – napisała (w 1995 r.): „Owszem, na Amerykę niemal wszyscy teraz w Polsce wykrzykują. Piszą i mówią o niej z pasją, jak kiedyś np. o Rosjanach. Pojawił się ulubiony termin »tandeta amerykańska«. Tandeta jest i polska, i niemiecka, i amerykańska; brońmy się przed tandetą jako taką. Te wykrzykiwania antyamerykańskie dawno spostrzegłam, wychwycę je »Nowy Dziennik«, przedrukowując różne teksty z Polski. Rozdziera szaty Zanussi czy Duda-Gracz, może dlatego że stawiali na karierę w Ameryce i teraz są zawiedzeni.

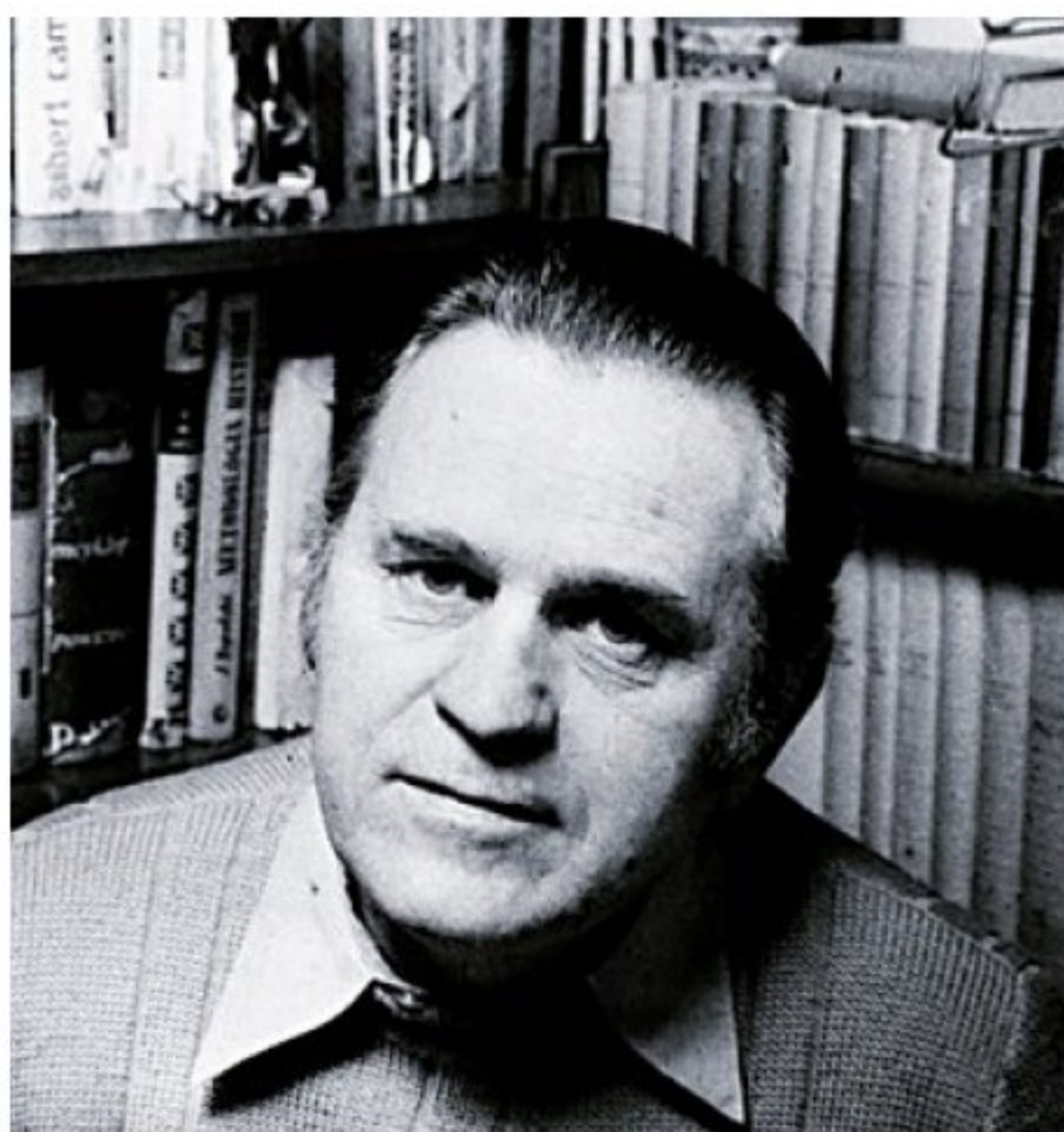
Słusznie piszesz, że Polacy nie powinni małpować Ameryki, mając wspaniałe

własne korzenie. Nie powinni małpować nikogo, ale to chyba inny temat, nie amerykański. Dlaczego Polska i wiele krajów jak za panią matką pędzą za Ameryką? To ich problem, nie Ameryki”.

Broniła wtedy Ameryki przed atakującym ją przyjacielem, choć – śmiała się – pewnie obrony tej nie potrzebowała: „Amerykanie – twierdziła – mają świetne samopoczucie i doskonale sobie dają radę. To raczej Polska, kraj nowy, świeżutki w rodzinie demokratycznych państw, potrzebuje specjalnego traktowania, jakieś taryfy ulgowej”.

Teraz, po śmierci Normana, coraz częściej myśli o powrocie do Polski, ale wciąż się waha, zwłaszcza że jej syn, Tomasz, mieszka na Karaibach, gdzie na wyspie Roatan wydaje pismo, głównie o charakterze turystycznym, bo cały ten region z turystyki żyje. Założył rodzinę, do córeczek jego żona mówi po hiszpańsku, opiekunka po angielsku, a tatuś i babcia, gdy do nich przyjeżdżają – po polsku.

Do literatury weszła Aleksandra Ziółkowska jako asystentka i sekretarka Melchiora Wańkowicza, który zapisał jej w testamencie swoje archiwum. Nie mógłby sobie wymarzyć pisarz lepszej propagatorki jego twórczości i strażniczki jego dobrego imienia. To ona doprowadziła do edycji dzieła pisarza, wraz z niepublikowaną po wojnie w kraju „Sztafetą” i nieznanymi tekstami o problematyce żydowskiej i zbrodni na Wołyniu. Wydała także korespondencję Wańkowicza, m.in. z żoną, a także z redaktorem paryskiej „Kultury” Jerzym Giedroyciem. „Wymieniałam z nim – opowiadała – moc listów, bardzo miłych, jeśli dotyczyły Indian (Redaktor był miłośnikiem westernów) czy zwierząt domowych, ja miałam swoją kotkę, on psa. Ale w tym, co najważniejsze, nie było między nami zgody, a właściwie wyglądało to tak, że Redaktor w listach pisał mi, jak wysoko ceni Wańkowicza, natomiast z przedmowy, jaką przygotował do wyboru korespondencji, wynikało coś zupełnie innego. Nie ukrywam, że jestem dumna, bo udało mi się go przekonać, by napisał nową przedmowę, stawiając sprawę niemal na ostrzu noża, gdyż – gdyby tak się nie stało – chciałam wycofać swoje nazwisko z planowanej publikacji. Próbował jakby zbagatelizować problem, utrzymując, że



FOT. ARCHIWUM CAF/PAP

podchodzę do sprawy nazbyt emocjonalnie, moim zdaniem jednak, o czym mu napisałam – nie była to kwestia emocji, lecz lojalności”.

Lojalność to jedno, sentyment, pamięć, wdzięczność – wszystko to się liczy, ale może najważniejsza jest literatura i jej jakość. A zdaniem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm „nie ma piękniejszej książki o Kresach niż »Szczeniące lata«. Bohaterstwa żołnierza polskiego nic nie pokazuje lepiej od »Hubalczyków« i »Bitwy o Monte Cassino«. I nie ma bardziej wzruszającej książki o domu, o rodzinie niż »Ziele na kraterze«”. Nie dziwi więc, że to właśnie ona czyni starania, by przyszły rok – 2024, w 50. rocznicę śmierci pisarza – Sejm Rzeczypospolitej mocą swoją ustanowił Rokiem Melchiora Wańkowicza.

Opiekowała się twórczością autora „Hubalczyków”, a także podążała śladami jego dzieł, co dokumentują takie jej książki jak „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża” czy „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy demon”. A opowiadała też o tym, jak z Hubalczykiem, Romanem Rodziewiczem, pojechała do



FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

Anielina, gdzie rozpoznała go, po latach, żona sołtysa, u którego żołnierze często zatrzymywali się w czasie patroli. Po serdecznym powitaniu pani Aleksandra spytała, czy mieszkańcy okolicznych wsi

nie mają żalu o pacyfikacje przeprowadzane wtedy jako retorsje za udzielanie pomocy oddziałowi Hubala.

– Ale Niemców też ubywało – usłyszała w odpowiedzi.